

# DO TANGA TRZEBA SMUTKU

Filip Łobodziński

O kimś, kto poszedł w tango, myślimy, że poszedł się zabawić. Tymczasem to jedyny taniec, który wyraża nie radość, lecz melancholię. Dobrze widać ten paradoks choćby na przykładzie słynnych dzieł sztuki – „OSTATNIE TANGO W PARYŻU” Bertolucciego, „NIEUSTANNE TANGO” Ciechowskiego, „TANGO” Mrożka nie są utworami radosnymi. Tango jest w nich symbolem nieuchronnego, nieprzychylnego losu. Tango to taniec mrocznej strony duszy. Gdy karnawałowa orkiestra zagra w charakterystycznym argentyńskim rytmie, zrzucimy z twarzy uśmiech. Pozwólmy przemówić zadumie, a nawet cierpieniu. Z bólu bowiem tango powstało.

## ARGEN NIE JEST ŚMIESZNY

„Ten śmieszny argen, ten śmieszny argentyński krok. (...) O tangu mówią, że staromodne, lecz było, będzie i jest wygodne” – śpiewał TERCET EGZOTYCZNY w piosence „Argentyński krok”. Śmieszne? Wygodne? Nic bardziej błędnego. Znacznie bliższy prawdy był jeden z najśłynniejszych autorów tanga Enrique Santos Discépolo, gdy nazywał je „*el sentimiento que se baila*” – „smutnym doznaniem, które siebie tańczy”. A smutek nie jest wygodny.

Są lata 70. XIX stulecia, niepodległa Argentyna ma może pół wieku. Społeczeństwo wciąż młode, kraj powiązany jest gospodarczo z imperium brytyjskim. U władzy stoją ludzie wykształceni we Francji. Rdzenna indiańska ludność zanika w zastraszającym tempie. Argentyna ma potencjał, ale jak go wykorzystać? Rząd wydaje dekret zachęcający do imigracji elitę europejską. Tymczasem z zielonego światła korzystają wyrzutkowie z najbiedniejszych regionów Starego Kontynentu: z południowych Włoch, Rosji, hiszpańskiej Galicji – w większości analfabeci. Do portu w Buenos Aires zawija coraz więcej statków.

Z drugiej strony na stolicę napiera inny żywioł: gauczowie, robotnicy z ogromnych latyfundiów. Początkowo tylko przywozili ze wsi towary na przedmieścia, z czasem zaczęli je sami zaludniać zwabieni światłami wielkiego miasta. Wokół centrum wyrósł łańcuszek biednych dzielnic, gdzie przybysze z interioru i z szerokiego świata krzyżowali swoje drogi i... noże.

## MATKĄ BYŁA IGNORANCJA

Jest wieczór, portowy dystrykt Buenos Aires. Na poboczu ciemnej uliczki spotkała się grupka mężczyzn. Niektórzy właśnie wyszli z pracy, inni wałęsali się po bruku Buenos od wielu godzin, szukając okazji do zarobku, kolejki w barze, podryw lub chociaż zaczepki. Ktoś z obecnych, Mulat z cumującego opodal statku, zaczyna nucić habanerę, wywodzący się z kontredansa taniec ludowy grywany na Karaibach i rozprzestrzeniający się po całym świecie morskich wilków. „Nie tak, nie tak!” – przerywa mu *compadre*, szanowany miejscowy wyga, rodzaj ojca chrzestnego, i sam zaczyna podśpiewywać znaną mu jeszcze z gauczowskich czasów milongę. Wybucho spór, tu i ówdzie błyska klinga, ale w końcu mężczyźni decydują się przenieść dyskusję do pobliskiego lupanaru. Tam, u boku uczynnych ladacznic, pokażą, jak ta melodia powinna ich zdaniem brzmieć i wyglądać

A może praojcem tanga był *compadrito*, podmiejski fanfaron, nieudolnie podrabiający potężnych *compadres*? *Compadrito*, podejrzliwie traktujący wysiłek fizyczny, często zarabiał jako alfons. Krążąc po rewirze, mógł zawitać do jakiejś tancbudy, gdzie akurat tańczono *candombé*, taniec zła oceanu inspirowany muzyką afrykańską. I później zaczął groteskowo odtwarzać to, co wcześniej zobaczył, pogwizdując przy tym jakąś milongę.

Tango uważane jest za taniec o mocno akcentowanym charakterze erotycznym. Przyłgnięte ciała tańczących, gwałtowne zrywy przywodzące na myśl miłosny bój, legenda rozrywki zrodzonej w domach rozpusty – nie sposób nie mieć podobnych skojarzeń.

Owszem, z tymi zamtuzami to prawda. To tam tango pozyskało duszę i ciało. Była to jednak dusza cierpiąca w samotnym ciele. Pierwotnie tango było tańczone solo. Improwizacja taneczna, która z czasem stała się tangiem, była wyrazem głębokiej frustracji mężczyzny, jego wołaniem o to, czego mu naprawdę brak, krzykiem niezaspokojonego pragnienia. Pragnienia bynajmniej nie cielesnego – *compadres* i *compadritos* poprzez taniec wyrażali tęsknotę za światem, gdzie ich etos będzie dominował. Światem bez przybyszów z innego świata, bez zdrajców, bez wiarołomnych kobiet. Tango wyrażało wreszcie lament za dawnymi, dobrymi czasami.

### **JAK MĘCZYŻNA Z MĘCZYŻNĄ**

Przyglądając się na karnawałowych parkietach precyzyjnym, doskonale zestrojonym ruchom par, trudno uwierzyć, że ten skodyfikowany rytuał wziął się z improwizacji, że z początku każdy tańczył swoje własne tango. I to nawet w czasie, gdy samotne popisy na deskach lupanarów ustąpiły miejsca parom – ale parom męskim.

*Compadre* zawsze dążył do potwierdzenia swojej przewagi nad konkurentami. W domach publicznych mężczyźni rywalizowali na wiele sposobów – dyskutując, śpiewając, recytując, pijąc, grając w rozmaite gry, w krytycznych momentach sięgając po noże. Albo – tańcząc.

W XIX-wiecznej Argentynie wyjście z domu bez noża było absolutnie nie do pomyślenia. W stosunku do długich ostrzy stosowanych na pampie te używane w Buenos Aires były krótsze – musiały zmieścić się gdzieś pod ubraniem, za pasem, w kieszeni. Może wielu mieszkańców przedmieść nie potrafiło wykonać żadnej porządnej pracy, ale nożem posługiwać się umiał każdy chłopak. Ćwiczyli się w tym celu od małego, walcząc zaostrzonymi kijami.

Tango stało się czymś na kształt bezkrwawego pojedynku. I tu być może leży największe nowatorstwo argentyńskiego tańca: tancerze mogli co chwila zastygać, ruch nie musiał być ciągły, w dodatku owe chwile bezruchu mogły wypaść w nieprzewidzianych momentach. Jak podczas prawdziwej walki. Stąd też prawdopodobnie wzięły się „trasy” pokonywane przez tańczących: do przodu, do tyłu, obrót i znowu po linii prostej wzdłuż dowolnie długiego odcinka. Bywało, że taniec kończył się symboliczną śmiercią jednego z uczestników.

### **PANIE IDĄ W TANGO**

Cały czas mówimy tu o mężczyznach. Skąd więc w tangu wzięła się kobieta? Ostatnia ćwiartka XIX stulecia to czas, gdy w argentyńskiej stolicy zaroilo się od „akademii”, czyli przybytków uczących różnych tańców, a także zwykłych tancbud. Te ostatnie najczęściej były prowadzone właśnie przez kobiety, które zatrudniały u siebie fordanserki. Dziewczyny dostawały wynagrodzenie za cały wieczór, przybysze natomiast musieli zapłacić za każdy taniec – w zależności od miejsca ceny opiewały na czas od sześciu minut do pół godziny pływania po parkiecie. A ponieważ nowy taniec rozpowszechniał się lawinowo po wszystkich domach rozpusty i stopniowo przenikał na przedmiejskie ulice, klientela tancbud też zaczęła domagać się tej nowinki. Ostatecznie byli to ci sami ludzie, którzy chadzali na dziwki.

To prostytutki właśnie stały się pierwszymi adeptkami nowego kroku. Nie każdy bowiem gość znajdował odpowiedniego partnera, z którym mógłby się zmierzyć. A ponieważ potrzeba wytańczenia własnej duszy była silniejsza nawet niż libido, dziewczęta, chcąc nie chcąc, szły w tan.

Jednak mimo udziału płci pięknej nadal erotyzm pozostawał gdzieś daleko w cieniu egzystencjalnej introspekcji. Tancerzowi partnerka była potrzebna niemal jak muzykantowi instrument, stanowiła tylko przedmiot, jej walory fizyczne nie miały żadnego znaczenia. Adorowano tylko jego. Ona jako kobieta upadła nie zasługiwała na podziw. Jej profesja uprawniała tancerza do tego, by bliżej, lubieżniej ją przytulić, ale nie dlatego, że tego pragnął, lecz by z większą ekspresją opowiedzieć swoją własną historię. Tango miało unaocznic blask jego gwiazdy na firmamencie półświata.

Gdy tango zadomowiło się w tancbudach i „akademiach”, pobyt na tancerki znacznie wzrósł i wiele z nich rozbłysło rzeczywiście nadzwyczajnym talentem. Nic dziwnego, nieustanna praktyka czyni arcymistrza. Ale znów we wspomnieniach bywalców często pojawiają się zdania: „Niebywała tancerka, nikt nie mógł oderwać od niej wzroku, choć poza salą nie zwrócono by na nią najmniejszej uwagi”. Zresztą, zwłaszcza te zdolniejsze dziewczęta miały w ciągu wieczoru tyle pracy, że po kilku godzinach dosłownie ociekały potem. Były zajęte jak karuzele w wesołym miasteczku.

### **SKOŃCZYĆ RAZEM**

Właśnie w tancbudach pojawiły się pierwsze stałe orkiestry – chyba, że przybytek nie należał do zamożnych, wówczas funkcję muzykantów pełniła pianola z taśmami, praszczur późniejszego magnetofonu. Przedtem tancerzom przygrywali grajkowie uliczni, najczęściej tworzący trio w składzie: flet, skrzypce i gitara. Poręczne, łatwe w transporcie instrumenty nadawały się do grania dowolnej melodii na życzenie wymagającego przedmiejskiego klienta.

Trzeba jednak wiedzieć, że w środowisku muzyków amatorów Buenos Aires popularnym porzekadłem było: „Skończyć razem to jak wznieść się w powietrze”. Uliczni muzycy nie mieli wielkiego pojęcia o grze zespołowej, każdy ciągnął po swoim. Pół biedy, gdy przyszło grać znane od lat habanery, mazurki, polki czy milongi. Ponieważ tango tancerz nosił w sobie, trzeba było radzić sobie inaczej. Każdy członek danego tercetu uczył się na pamięć trzech – czterech tematów, reszta zaś akompaniowała mu, jak umiała (albo raczej nie umiała). Nie chcąc narazić się na wstyd, muzycy na wszelki wypadek ogłuszali się dżinem lub wódką.

Grajkowie grali „do pierwszej krwi”, po czym zwijali majdan i szli do kolejnego lokalu. A wraz z nimi szły tanga – w tej nieudolnej jeszcze, ale coraz bardziej się krystalizującej formie.

### **NIEMIECKI ŁĄCZNIK**

Flet, skrzypce i gitara... A gdzie nieodłącznie związane z tangiem bandoneon i fortepian? Bandoneon – instrument podobny do małego akordeonu – wydaje się znakiem firmowym Argentyny. Tymczasem jest to produkt niemiecki, wymyślony około 1835 roku przez hamburskiego konstruktora Heinricha Banda na użytek bawarskich potańcówek ludowych oraz niektórych wiejskich uroczystości religijnych (jako substytut organów). Nazywał się wtedy Band-union, z czasem nazwa zaczęła ewoluować. W porcie nad La Platą pojawił się trzydzieści kilka lat później, przywieziony przez marynarzy. I dopiero tutaj rozwinął się jako instrument dwugłosowy – przy ścisnieniu wydawał inny ton niż przy rozciągnięciu. Jak pisał jeden ze znawców tanga Óskar Zucchi: „Bandoneon jest artystycznie dwoisty: gdy otwierasz miech, jego dźwięk jest jasny i przeźroczysty, kiedy zaś go ściskasz, dźwięczy szorstko, jest mroczny i kłótlivy. Tak jakby walczyły w nim błogosławieństwo i przewrotność”

Wraz z ulepszeniem konstrukcji instrumentu w Argentynie właściwie narodziła się technika gry. Ponieważ nie istniała żadna tradycja ani literatura gry na bandoneonie, Argentyńczycy wszystko wymyślali od zera. Niedużo trzeba było czasu, by bandoneon wyparł ze składu tria flet i przejął

główną rolę, nawet skrzypce spychając na pozycję instrumentu towarzyszącego. Wkrótce stał się powiernikiem kompozytorów, ich druga duszą, niektórzy nie wahali się nazwać go wręcz swoim bratem bliźniakiem. W jego zawodzących tonach i pociągłych nutach dostrzegli nośnik melancholii, a więc czegoś, bez czego tango nie byłoby taniem.

## **REWOLUCJA NA SALONACH**

Pod sam koniec XIX wieku do plebejskich domów tańca i na uliczne potańcówki zaczęli napływać dostojni goście. Nie afiszowali się jednak, przychodzili przebrani „za lud”. Byli to synowie i córki z lepszych domów, bogaci utracjusze, których pociągał zakazany świat. Nęciła ich egzotyka, może chcieli się też sponiewierać, zaznać „prawdziwego życia”. I tą drogą stopniowo wyuzdany taniec z burdeli Buenos Aires przeniknął na salony argentyńskiej socjety. I, o paradoksie, dopiero stamtąd do domów prostego ludu, który najdłużej opierał się nieprzyzwoitym rytmom.

Zwiadowców z lepszego świata było oczywiście stać na więcej, hojniej szastali pieniędzmi, więc i właścicielki przybytków tańca mogły pomyśleć o lepszym sprzęcie. Pianino czy fortepian przestały być rzadkością. A i zawodowi kompozytorzy coraz chętniej pisali tanga, bo mogli spodziewać się godziwej gratyfikacji.

Prześledzenie dokładnie historii początków tanga jest właśnie dlatego trudne, że nie zachowały się dokumenty. Nie publikowano żadnych melodii, ponieważ ich autorzy nie znali nut, byli takimi samymi wyrzutkami społecznymi jak ci, dla których grali. Pierwsze tanga były instrumentalne, a jeśli powstawały do nich jakieś słowa, to najczęściej były to przerabiane zwrotki dawnych milong i kuplety wymyślane na poczekaniu. Zresztą słowa nie były ważne, liczyły się stopy i ciała. Tango było opowieścią snutą poprzez ruch.

Akceptacja tanga przez wyższe sfery doprowadziła do rewolucji. Bogaci Argentyńczycy nie mieli zapewne takiej potrzeby ruchu jak rodacy z przedmieść. Dorównywali im jednak sentymentalizmem. Tango „z awansu społecznego” przestało być tylko tańcem, na pierwszy plan wyszły słuch i słowo. Narodziło się tango jako pieśń.

Symboliczną datą tego przełomu był rok 1917, kiedy podczas występu Carlos Gardel, dotąd znany jako wykonawca pieśni kreolskich, zaśpiewał tango „*Mi noche triste*” („Noc moja smutna”) z muzyką Samuela Castrioty i słowami Pascuala Contursiego. Euforia, jaka wówczas wybuchła, na zawsze odmieniła historię tanga i życie samego Gardela, który w ciągu jednej nocy stał się bożyszczem, a z czasem wręcz mitem i symbolem argentyńskiego tanga. Takiego tanga, jakie znamy do dziś. Ale to już zupełnie inna historia. Historia niebywałego tryumfu Gardela i samego tanga najpierw w Paryżu, potem w Hollywood, pochód tańca przez niemal cały świat. Historia załamania, gdy nastąpiły czasy rock and rolla. I niebywałego renesansu w ciągu trzech ostatnich dziesięcioleci za sprawą między innymi Astora Piazzolli. Historia absolutnego fenomenu, jakim jest popularność tanga na dalekiej północy, w Finlandii i Norwegii. To historia tańca powszechnego użytku, jakże innego niż ten, który tańczyli samotni mężczyźni w spelunkach nad La Platą.

Kiedy więc podczas zabawy karnawałowej zabrzmi znajomy rytm, porzućmy radość, dajmy się porwać bezgranicznej tęsknocie i nostalgii. I pamiętajmy – tańcząc tango, zanurzamy się w historii, wprawdzie nieczystej, ale bardzo malowniczej.